



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KOLONIE WAKACYJNE.

Są idee, pomysły, wynalazki, które się ludziom udały, jedne więcej, drugie mniej, niektóre wcale nie, a inne znów tak wybornie, że im nie a nic do zarzucenia niema. Myślę, że harmonia rozumu i uczucia rozstrzyga tutaj o istotnej wartości rzeczy, i dlatego też może np. prawo, tworzone przedewszystkiem chłodnym rozumem, czasami rozmija się ze sprawiedliwością życiową, a np. miłosierdzie, powstające przedewszystkiem z uczucia, grzeszy niepraktycznym zaślepieniem i chodzeniem po omacku wśród ludzkiej niedoli.

Do pomysłów, które się społeczeństwu ogromnie udały, które są i mądre i serdeczne zarazem, i praktyczne, i uczuciowe, do pomysłów, które mają i porządną głowę i prawidłowe serce, należą bezzaprzeczenie—Kolonie wakacyjne.

Wiemy wszyscy, co to są kolonie letnie? To jest powietrze dla tych, którzy nie mają powietrza, a są mali, słabi i biedni; to jest słońce dla tych, którzy nie mają słońca, a rosną, rozwijają się, ziębną zimą, a prażą w izbach latem; to jest niebo błękitne dla tych, którzy mają nad sobą sufit sutereny, to jest rzeka dla tych, którzy nie mają czasem miski aby się w niej umyć, to jest las dla tych, którzy mają czasem aż po lat dwanaście i nie wiedzą co to drzew więcej razem, słowem, to jest—przyroda, cudowne dzieło boskie, czyste, ciche, dobroczynne dla tych, którzy znają tylko miasto, mury, ulicę, kurz, pył, zaduch i gwar, zabijające zdrowie i przygniatające ducha.

W jednym z poprzednich numerów „Bluszcza” podaliśmy zestawione cyfry z rocznej

działalności Kolonii letnich, część faktyczną rzeczy; dzisiaj pragnę przypomnieć ducha sprawy i rozstrzelić na wszystkie strony jak największą liczbę sympatycznych iskier, budzących gorący i czynny udział w pracy Towarzystwa kolonii wakacyjnych.

Ci, którzy chcą mieć w przyszłości piękny, wyrosnięty, zdrowy las do produkcyjnej gospodarki leśnej przydatny, największego starania dokładają około młodych sadzonek, grodzą je osobnymi koszyczkami każdą, obkopują, podsypują ziemią, wychowują poprostu młode drzewko, aby już dalej samodzielnie rosło i walczyło z wichrem i burzą, gdy sił i odporności nabierze.

Tak hodowany las, da w przyszłości cień, opał, dochód, kulturowy swój obowiązek wypełni, pomijając już nawet wielką potęgę wrażenia artystycznego, którą głęboka boru przechowuje dla tych, którzy te rzeczy czuć umieją i klimatyczny wpływ dodatni, jaki wywierają te zastępy zielone, ze sztandarem dębowym lub sosnowym, roznoszącym świeżość i woń po okolicy.

A jakieżże to kultury używają te małe sadzonki ludzkości, których biedne, nędzne, chorowite główki sterczą gromadkami u wejścia do sklepików, przy schodkach suteryn i piwnic, w kącikach brudnych dziedzińców, ciasnych korytarzyków, na rogach zaułków lub pod ścianami chodników? W oczy temu drobiazgowi leci pył, w usta i płuca kurz, w uszy brzydkie słowa gawiedzi, klótnie i złorzeczenia; najeżdżają na te maleństwa dorożkarze, tramwaje i bicykle, potrącają przechodnie, straszą psy, sypie się wapno i cegła od budujących się domów i cały teroryzm wielkiego miasta gniecie tę drobną roślinkę, która jednak wydziera się gwałtem na powietrze, na dwór, byle mieć choć tę wstążkę nieba nad sobą, byle mieć choć tę odrobinę swobody, jaką daje ulica.

Ale i tutaj ludzie fukają na szarą gromadkę,

bawiącą się na trotuarze i przynajmniej słowem odpychają dzieciaki pod ściany domów lub do bramy. Z takich roślin nie będzie ludzkiego lasu, nie będzie człowieczego zastępu ze sztandarem świeżych idei, pracy, z poczuciem obowiązku; tak bez uprawy wyrosłe drzewko, słabe i chorowite, padnie w pierwszej lepszej zawierusze epidemicznej lub socyalnej i zuboży kraj o straconą jednostkę. A takich małych jednostek jest — jest ile?

Tysiące. Z takich fatalnych warunków wyrwają biedne dziecko na parę chociaż tygodni—Kolonie letnie. Ale Kolonie nie mają jeszcze swojego lasu dużego pod Warszawą, nie mają swoich domostw, gdzieby się dzieci pomieszczyły, nie mają wielkich kapitałów, żeby powiedzieć z radością: „Pójdźcie do mnie wszyscy!” Kolonie wakacyjne mają niewielkie zasoby, bardzo dużo współczucia i społeczeństwa i — niestrudzoną usilność przemawiania do ludzi: że trzeba ratować dzieci, żeby byli — ludzie, że trzeba leczyć dzieci, żeby nie wymierała młodzież, że trzeba wzmacniać dziecko, bo wynędznienie człowiek, że trzeba uzdrawiać od początku małego człowieka, bo zwyrodnienie rasa.

Wszystko to znajduje echo skuteczne w pewnej ilości słuchających i dlatego też Kolonie wakacyjne wysłały tysiące dzieci na wieś i wysłały je w tym roku, ale dzieci jest — tysiące-tysięcy. Zajrzyjcie temu biedactwu w oczy, głęboko, aż do dna jego nędzy, jego chrypliwego oddechu, jego kołającego serca i anemicznych pulsów, zajrzyjcie do tych stanczyjek, do tych jamek kuchniańskich, do tych garnków z odgrzewanymi ziemniakami, do tego łóżka, gdzie w startej słomie kilkoro snem niespokojnym usypia i stęka, i zajrzyjcie potem do waszych serc, żeby tak czasem w nich nie było duszno jak w suterynie i do waszych kieszeni, żeby tam nie było ciasno jak w zaułku dla wielkiego obowiązku społecznego.

Tyle się pieniędzy, tyle złota rozrzuca po świecie, tak lekkomyślnie, tak po szalonemu nawet, a część tej marnotrawności—pobu lowałyby domki wakacyjne; taki jeden koń wyścigowy więcej kosztuje niż parcela lasu pod kolonię letnią na sto dzieci! taka dorożka na gumach, trzymana godzinami przed hotelem dla fanaberyi młokosa, opłaciłaby wyjazd kilkanaściora dzieci na lato; taka zbytkowna suknia karygodnie sprowadzona z Paryża lub londyński garnitur dałyby kilkorgu dzieciom wytechnienie i zdrowie!...

Ale te wszystkie rzeczy trwają, i jeszcze, niestety, długo trwać będą, bo nietylko mamy dużo słabych dzieci, ale jest nas dorosłych spora gromada chorowitych na różne zboczenia rozumu i serca i rozsądku i kręci naszym trzeźwym moralnym zmysłem jakiś szkaradny, niepoprawny totalitatorski młynek, miażdżący w naszych charakterach zdrowe ziarno poczucia obowiązków na jakąś cudaczną a namiętnie gonioną przez nas plewę. Na takie ogólne zło, to dużo czasu potrzeba i długo o niem mówić, wolę się do was specjalnie zwrócić, szanowne panie, i zaprowadziwszy u was, niejakię oszczędności, poprosić o nie dla kolonii letnich.

Np. dlaczego dajecie waszym dzieciom takie drogie ubrania? Czy to cieplej, czy ładniej, czy wygodniej dziecku? Gdzież tam! To jest tylko pretensjonalniej, mniej gustownie i cięższa dla dziecka niewola. Po co te salopki aksamitne i pluszowe, po 40 i więcej rubli! po co te kapelusze pełne piór kosztownych, po 10 i 15 rubli, na głowach dziesięcioletnich dziewczątek! po co te sukienki dla niemowląt po 8 i 12 rubli!

To istny szal; nie tak piękny jak ów malarza Podkowińskiego, lecz niebezpieczniejszy, bo tutaj matka z tak wystrojonym dzieckiem skacze wprost w przepaść marnotrawnego zbytku, a od takiego zbytku do zgorszenia to tylko jeden krok.

Dziecku tak samo ciepło, lekko i ładnie będzie we flaneli, barchanie, muslinie, jak w owym pluszu i aksamicie, a będzie więcej sobą, więcej dzieckiem; a cóżby ono później na siebie włożyło, kiedy już jako dzieciak obnosi te niesmaczne a kosztowne mody, i już zazna przed młodością nawet tej brzydkiej gorączki sezonowej, z jaką wiele pań zabiera się do odświeżenia zapasu własnych i dziecinnych sukien. Żeby tak po parę chociaż, po kilka rubli poujmować z tych dziecinnych strojów, jużby się sumka zebrała nie mała i zasiłiła kasę Kolonii letnich, które za ten grosz odjęty zbytkowi, kupiłyby biednym dzieciom powietrza, słońca i swobody zdrowej i moralnej. Pod osłoną powierzchownej lekkoduszności, i życia bardzo na zewnątrz, dla świata, bije nieraz bardzo dobre serce, ale uspione, drzemające, niezaradne, nie spostrzegające się na własnych błędach i martwocie. Niechajże się te serca obudzą, rozejrzą, zrozumieją, co dobre, co konieczne, niech pomyślą o ciężkich utrapieniach tych matek, którym dzieci rok cały na bruku marnieją, a z pewnością znajdzie się coś, ujętego przesadnej i kosztownej modzie, co wpłynie jako rozumny i serdeczny datek na korzyść instytucji, która z nieodzownej potrzeby społecznej wyrosła, elementarnej jego klęsce zaradza, i buduje przyszłe zdrowie a na niem charakter narodu.

Wszakże wy, matki, które nie potrzebujecie się losu dopraszać o codzienny powszedni chleb dla waszych dzieci, wy macie tę szlachetną dumę, aby nietylko własne wychowywać dzieci, ale pomagać w ogólnym ruchu wychowawczym tak gorąco, tak umiejętnie, tak samowiednie i wytrwale, jakby to o wasze własne dzieci chodziło? Wszakże niema takich, któreby się tej dobroczynnej dumy, tego ludzkiego, dojrzałego współudziału wyrzekły?

Szczęсна.

Przebudzenie.

Prychodzą do mnie jakieś echa

I krzeszą iskry złote w sercu...

Na snów, na jasnych snów kobiercu

Dusza do słońca się uśmiecha.

Ukołysaną, roztęsknioną

Błękitna słodycz opromienia,

Bo czuje, że się tłą w niej płoną

Nowe zachwyty i pragnienia.

A była zimna już jak lód.

Już odszedł od niej pragnień głód...

Przychodzą do mnie jakieś echa...

Snują się przy mnie jakieś mary,

Śni mi się słomą kryta strzecha,

Drzemiąca w cichej wiosce starej,

Śni mi się duże, letnie słońce,

Omdlałe kwiaty, senne drzewa,

Po ziemi ognie chodzą lśniące ..

Tak cicho... stary sad nie śpiewa

I drzew nie chwieją się korony

Usnął... w płomieniach... rozmarzony.

Przychodzą do mnie jakieś echa

I krzeszą iskry złote w sercu...

Na snów, na jasnych snów kobiercu

Dusza do słońca się uśmiecha,

I zatapiając oczy w sobie,

Czuje, że dziwny żal ją smęci,

Bo wiosnę swą przespała w grobie,

Melancholijnej niepamięci,

Bo zimna była już jak lód,

Bo odszedł od niej pragnień głód.

Kazimierz Perzyński.

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Ideały niewieście poetek polskich

Studjum etyczne-literackie.

(Dokończenie).

Przechodzimy do Konopnickiej. Zastłuchana w tajemne a czarowne dźwięki przyrody, w głos lecący z łąk i pól dalekich, w szumy drzemającego boru, w smętną pieśń żniwiarki na pszenicznym łanie, w cichą melodję nocy majowej lub w groźne pomruki nadciągającej burzy, wrażliwa na płacz niedoli i skargi ludu wiejskiego — zrzadka jedynie potrąca poetka te struny duszy kobiecej, których dźwięk wyraża uczucia czysto niewieście, potrącając zaś o te struny, czyni to jedynie w celu ubocznym, pragnąc tem żywiej i jaskrawiej odmalować wszystkie nędze i bóle chłopskiego życia. Ztąd zaledwie kilka wierszy wśród jej spotykamy utworów, w których

występuje przed nami postać niewieścia wieśniaczki, kreślona mniej lub więcej sylwetkowo, a ledwie parę wierszy poświęca poetka odwróceniu przed nami postaci kobiety inteligentnej, najbardziej zbliżonej do jej ideału: między niemi pierwsze miejsce trzyma wiersz „Do kobiety.”

Przejrzyjmy najprzód szereg postaci niewieście, pochodzących z ludu lub najbardziej do niego zbliżonych; pierwszy wiersz, jaki napotykamy tej treści, jest zatytułowany „Z wiejskiej szkółki” Oto przed nami czysta, lecz uboga i skromna szkółka wiejska: w izbie w prostej sosnowej trumience leży blada postać dziewczęcia, w czarnej skromnej sukience, mająca za całą ozdobę „pęk róż dzikich i wianek zielony...” Powiew ranny, wonny zapachem kwiatów wiosennych, wpadał przez okno do wnętrza i „usta jej zimne, pobladłe, milczące całował cichy, szeleścił cicho przez powój rosnący przed oknem i przez białe firanki i ploszył gołębie, które darmo dziś czekały na panią, codzień rano sypiącą dla nich ziarną... Wleciała jaskółka — i jak strzała mignęła czarnem skrzydłem nad głową umarłej... Gromnica, paląc się u wezgłowia, rzuciła błyski „zimne, jak lzy cudze...” zresztą — nikogo w pustej izbie, ktoby płakał i żegnał się ze zmarłą — tylko Chrystus wyciągał z krzyża ramiona boleśnie i tylko śpiew pliszki z gałęzi przed oknem przerywał posępną ciszę śmierci. Lecz oto z wieży kościółka rozbrzmiały dzwony i las zaszumiał, jakby do wtóru, posępne ave...” Gromadka wieśniaków, idąca z sierpami i kosą na łąki, stanęła w progu chatki; pod przyzbytą stoją znachorka stara, wróżąc sąsiadkom pogodę na lny i deszcz na żniwa; wieśniaczki wzdychają głośno, a dziad, siadłszy na ziemię, zawodzi pieśń... lecz ani jedna łza szczerą nie spadła z niczyich oczu na trumienkę cichą, nieczyj żal głębszy nie ozwał się płaczem z serca... Ta bowiem blada — zimna już i na wieki spokojna, była tu „wśród obcych duchem,” choć tak ukochała ten lud wioskowy ciemny i biedny, choć matką była dla niej ta sama ziemia, „co płowy plon żyta dała...” chociaż dziatki wiejskie, jak rodzone siostry i braci rodzonych kochała... Kochała je jako matka i pragnąc dać im szczęścia nieco, „wiodła je od cieni do światła...”

„Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęła śmiało,

I snop swój ciężki wiązała cierpliwie

Przez dobę całą.”

Z wiarą wielką w plon bogaty swej pracy, z miłością szczerą ludu, z nadzieją przyniesienia mu ulgi w jego ciężkiej doli, wytrwale jęła się swego zawodu, — „choć nikt zachęty nie ozwał się słowem, nie dał pomocy...” pozbawiona serdecznego współczucia, nie mając szczerzej wdzięczności od tych, dla kogo niosła swój trud i siły — „trwała tak, stojąc na polu jałowem z świtu do nocy...” lecz zwolna siły się wyczerpywały, coraz częściej przychodziło śmiertelne znużenie, coraz mniej pozostawało w sercu nadziei... nieraz więc „pobladła, znużona, z mokrą powieką” i wyciągając mdlejące ramiona ku dalekiej gdzieś wschodzącej zorzy, szeptała z rozpaczą: „jak jeszcze ciemno!... kiedyż zadnieje?...” Nienietety!... zorza była jeszcze daleką... nim zabyła, oczy biednej pracownicy zawarły się na wieki...

„Ach! ona była, jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem...

Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha — chlebem...

I była rosą, co rzeźwi o świcie
Ziółta mdlejące...

Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie
Nim wszędzie słońce...”

A oto jak kocha swoje dziecko matka-chłopka: Przyszła do miasta z synem, którego wziąć mają do rekrutów, przywlokła się z wioski już

wpół martwa z niepokoju i troski, i przed gmachem wojskowym „w tłumie na mrozie stanęła pod ścianą, okryta starą męzowską sukmaną.“ Bezwładnie, bez ruchu, jak posąg z kamienia, pół dnia tak stała „patrzając upornie“ na gmach, w którym strzygli i mundurowali rekrutów. W rękę trzymała „węzelek ubogi,“ cały dobytek syna; twarz jej

„...Wygasała, pozołkła, zmartwiała, jak pustka była posępna i cicha; I tylko usta zacisnęły, drgające, Jakiś krzyk duszy zdradzał ogromny, Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny, I bić w niebiosy, i wstrząsać to słońce, Co bezpromienną i zimną swą głowę Ukryło kędys za chmury śniegowe.“

Gdy stojący obok niej sąsiad przemówił do niej: „pochwalony!“ jakimś tylko jękiem głuchym na to odrzekła, „piers jej w śmiertelnej podniosła się męce“ i znów, błyszczącym i suchym wzrokiem „patrząc poczęła na zamknięte drzwi gmachu. Lecz oto z trzaskiem otwarto drzwi sali; w natłoku wychodzących oko matki szuka skwapliwie syna i wreszcie go poznaje... lecz jakże zmieniony jej Jasiek!... „Jakieś tragiczne, surowe odbłaski padły już na tę obnażoną głowę, którą dziś jeszcze ocieniał włos lniący...“ „był gibszy i bledszy...“ gdy podszedł ku niej w milczeniu, dwie łzy mu zbiegły po twarzy, a wypłynęły z pod serca... Lecz matka tłumi całą swoją boleść i stara się synowi dodać otuchy i siły. — „Nie płacz, Pan Jezus przemieni!“ — te tylko wyrazy wychodzą z jej ust, i podaje mu chleb, by się posilił przed drogą... a gdy syn, odkroiwszy kęsek chleba, szepnął: „nie mogę!... nie mogę, matko, sam!“ — ona wówczas „jak chusta zbladła, lecz rozłamała chleb—i z synem jadła.“ Lecz oto już dają rozkaz do marszu — w tłumie, który zeszedł się z wioski, powstaje zgiełk i lament i płacz — „Jaska tylko matka bez łzy, bez skargi trwała do ostatka, zwróciwszy oczy smutne, pełne troski na drogę, którą miały iść rekruty...“ Lecz w chwili, gdy się już musiała rozstać z synem, tłumiony całą potęgą miłości macierzyńskiej ból wybuchnął —

„Nagle, jakgdyby zawiodła ją siła, Syna za piersi rękoma chwyciła... „Dziecko...“ krzyknęła raz tylko—i zbladła, I zatoczyła się—i martwa padła. Mówiono, że jej pękło chłopięce serce.“

Miłość macierzyńską również widzimy w wierszu p. t. „Do Granicy.“ Matka opowiada smutne wyjście z wioski rodzinnej całej gromadki w świat daleki i cudzy... Gdy zaparli chatę i „befel“ przybili do wrót —

„Wtęc dziecięcę zgarnęłam na kupę, A to najmłodsze, co płacze i kwili, Jak ten wróbelek—dźwignęłam na ręce, I tak powiodłam—to stadko jagnięce W świat, gdzie poniosą oczy...“

A te uczucia rodzinne—wszystka miłości przywiązanie do ojczystej strzechy—powstają w duszy i każą odwrócić oczy po raz ostatni na pozostałą chatę samotną i pustą... jaskółka, która gnieździła się pod belką i oswojona była z mieszkancami, wylatuje oto z pod strzechy „i ze szczebiotem poniesie się nad dzieci, jakby żegnając właśnie...“ A i słońce było blade i smutne jakies „i tłało jak lichy kaganek,“ jak gdyby „sam Pan Bóg uskapił jasności na oną drogę smętną...“ I coraz dalej i dalej po za niemi zostają wioski i chałupy, i pola i ogrody, pasieki i łąki — a żalność coraz większa za serce chwyta, że to swoje, ukochane porzuca się już nazawsze, że się już tego nigdy i okiem nie zobaczy!...

„...odwróć ja głowę Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną Chatę, obórkę, na sady wiszniowe, Na wdowią rolę trójpotem zroszoną, A ta mi strzecha stanęła jak złota W oczach, a na niej dwa gołębie siwe, Jakby ze srebra...“

I wszystko to wydawało się jakby żywe i jakby ręce do niej w tęsknocie wyciągało i w żalności; nawet krowa, zaprzędana dla kawałka suchego chleba, stoi i ryczy, a choć w trawie stała, nie pochyliła się do paszy, jeno patrzy za niemi i wzdycha „właśnie jak człowiek...“ „Dziw, żem rano nie padła“ — mówi nieszczęśliwa wdowa, — „taka mnie żalność zdjęła...“ Idzie jednak pod krwawym przymusem wciąż dalej a dalej, o głodnym chlebie, zagarniając przed sobą jako gąsieczi dziećki troje. Najstarszy, który w kupie szedł przodem, niosąc na kiju ojcowską sukmanę, miał smutną jakąś twarzyczkę i zadumaną i oczy we łzach jakby pływające, ile razy spojrział na słońce...

„Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące Było dzieciątko na rękach mych śpiące. A tu ni stanąć, ni sięść, choć pod miedzą, Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą, Albo jak kawki w polu...“

I idąc dalej, spotyka gromadka żalobna krzyż na rozstaju pod wieczór; przed owym godłem męki i wybawienia rzucają się z płaczem na ziemię, — a tymczasem weszły na niebo gwiazdy czerwone i przyświecały krwawo smutnej pielgrzymce. Ustał zwolna płacz niewiast na noclegu i tylko tu lub owdzie stłumione łkanie się podniesie, a las zdaleka szumi i wzdycha wieczornym powiewem. „W mehy utuliłam zziębnięte dzieciny, w nieboszczykową odziewszy sukmanę“ — opowiada dalej matka, ale najmłodszy synek nie spał, miał otwarte oczy i jakby szklane i w gorące po powietrzu chwytał się rączkami i bredził nieprzytomnie — i do domu wołał... Stroskana własnymi dziećmi matka, spóstrzega obok drzące od zimna, nędznie ubrane może siedmioletnie dziewczętko, które na pytanie „gdzie jest jej ojciec i matka — odpowiada, „pomarli — matuś i tato...“ i z temi słowy, jak kureczkę, główkę pochyli i do snu się kuli — „więc ja fartuchem okryłam i wstałam, i patrząc na to sieroctwo — nie spałam...“

I tak przebyto trzy noce ciemne i zimne od rosy, a nawet wstające co rano słońce już ich nie cieszyło, bo się wydawało im „obce i zimne...“

„A ze mnie wyszły ostatnie już moce, I duch, i wszystkie ze mnie wyszły siły, Com je dobyła z siebie niosąc dzieci Jedno po drugim, przez dwa dni i trzeci...“

Aż wreszcie najmłodszy synek zastygł jej na rękę i „poszedł w olszynie cudzej pod krzyżem odprawować warty...“ i czekać, aż mu pióra urosną, by mógł jak gołąb, do swej rodzinnej strzechy powrócić...

„W białym on blasku bez trumienki leży Na cudzej miedzy i leśnej rubieży...“

Pełno w tych obrazkach posępnych, przypominających mrocznym kolorytem „Ojca zadumionych,“ tragiczności i rozpacz macierzyńskiej.

A oto jeszcze parę rysów miłości macierzyńskiej. W niskiej izbie wieśniaczej przy kołysce synka siedzi matka i nuci mu piosenkę do snu: „Kołysz mi się, kołysz, kołysko lipowa!...“ śpiewa i sama tonie w dumaniach i widzi jak przez mgłę całą przyszłą dolę dziecięcia — szarą i smutną dolę chłopską... Zachowa Jasienka w kołysce i przy matce w chałupie. Dotąd jeszcze życie dlań wolne i szczęśliwe, a potem go wezmą do dworskiej posługi — i już pocznie się dlań snuć szara nie chłopskiej doli... a jeszcze później

„...Na gościńcu tuman, Ż wiatrem gra muzyka... Oj grają ci, grają Złociste trębacz... Jasienko się żegna, Matka w progu płacze!...“

„Kołysz mi się, kołysz, kołyseczko biała“ — śpiewa dalej matka dziecinie, a na myśl jej już

przychodzi własna jej dola: nie pójdzie ona wówczas od dzieciątka swego „jeno na cmentarz, do dołu czarnego.“ Z kilku wyżej przytoczonych wierszy widzimy, że w oczach Konopnickiej posiada chłopka w wysokim stopniu rozwinięte uczucia macierzyńskie, miłość, czułość i troskliwość względem swych dzieci, dla których przed żadną nie cofa się ofiarą, — litość względem cudzych nawet dzieci, wielkie ukochanie swojej chaty i zagrody rodzinnej, wioski swej i okolicy. Prosta dusza chłopki może nie być zdolna do subtelnych wzruszeń i uczuć wyrafinowanych, wielkie jednak a proste i szczere uczucia aż wgląd sięgają wrażliwej duszy i mogą sprowadzić wybuch, który nieraz kosztuje życia.

Dziewczę wiejskie u Konopnickiej również przywiązane jest do chaty i wioski rodzinnej, do ogródka swego, gdzie pod oknem dziewczęciem rozkwitają rozmaryn i malwy, do łąki za wioską, gdzie rwie dziewczyna kwiaty polne i wplata je do wianka. Wszystkie kąty zagrody, w których spędziła swoje dziecięce lata, każde miejsce ustronne w sadku, w którym się widuje ze swym ukochanym Jaśkiem albo Stachem, kocha dziewczę gorąco i nie porzuciłaby ich dobrowolnie, ani zamieniła na najcudniejsze dziwy nieznanego świata. Pełną jest przytem dusza dziewczęta jakieś nieokreślonej tęsknoty, jakichś wzlotów w nieznane kędys kraje, jakichś smutków cichych a tęsknych.

Oto w niskiej chatce siedzi u okienka dziewczyna; snuje z kądzieli nitkę cieniuchną, siwą, — myśl jednak ręce nie towarzyszy, ale wybiega za oczami przez zamrażnięte okienko gdzieś wdal, na koniec świata, a niemało rzeczy cudnych i pięknych widać z tego okienka, — „było się tylko patrzeć umiało, byle tchem ciepłym, od wnętrza chaty, oddechucha srebrne na szybach kwiaty...“ Wiosną widać z okienka „modrą Wisłokę“ i czółenka chwiejące się u brzegu i flisaków płynących na tratwach... Na lewo od okienka widać ogromne spróchniałe drzewo, które, jak powiada, zakwitnie na nowo wówczas, gdy już biedy nie będzie na ziemi, ni ludzkiej krzywdy, ani wojny, — gdy każdy zasiędzie we własnej chacie i wszyscy braćmi zwać się będą... Uśmiecha się dziewczę tym marzeniom prostym, jednoby tylko chciała w nich zmienić — oto aby ojcowie pozwolili zwać Jaska inaczej, niż bratem... Miłe marzenia dziewczęce przerywa widok ojca, który chodzi po miedzy w zamysłach: „czy też zarodzi?..“ Widmo głodu — jak upiór czarny — płoszy różane nadzieje dziewczęcia i wywołuje na jej usta modlitwę do Boga o kawałek chleba... Czem kobieta może i winna być dla ukochanego mężczyzny? odpowiedz na to pytanie daje nam Konopnicka w wierszu: „Bądź silnym!“ i w znany wiersz „Do kobiety.“ Piers młodziana przed palącym ziemskiej żądzy oddechem pragnęłaby zakuć poetkę „dyamentową zbroją,“ pragnie być dlań tarczą i stanąć przed nim jak siostra z rozpostartymi rękami i łzami go obronić „przed skwarem życia, co piers wysusza...“ W wierszu „Do kobiety“ mówi najprzód poetka o potędze uczucia miłości, które jest „złotą wagą, co byt wszechświata utrzymuje w ruchu,“ a kobietę czyni ono „kapłanką przeczystych ołtarzy...“ Wskazuje następnie na obowiązki względem męża, jakie wkłada na kobiety wysokie posłannictwo małżonki: powinna „podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,“ wspólnie z mężem, a być domu jego „światłem i ozdobą“ i niesć mu „pokój i ciszę i zdrowie.“ Ideały męża stać się powinny i ideałami żony; jedna i ta sama droga życia wieść ich oboje powinna do Boga. Wymawiając to najświętsze słowo: „kocham,“ — powinna gotowa być kobieta podzielić z ukochanym „gorzki chleb trudu i łez i boleści,“ a w dniach smutku powinna „weselić jego oczy“ a cześci jego być tarczą...

„Kocham“ — to znaczy — chcę w cichym zakątku Żyć zapomniana, byleś ty był zemną... Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku Nucić piosenki w noc ciemną.“

Lecz dzieląc z mężczyzną trudy i troski życia, ów „gorzki chleb życia,“ powinna kobieta pod-

nosić jego ducha ku Niebiosom, powinna być dla niego ideałem wszystkiego, co jest najszlachetniejsze, najlepsze i najpiękniejsze w życiu:

„Kocham“ to znaczy: ja *chcę być dla ciebie Prawdy, i dobra, i piękna zaklęciem, Umiłowaniem twej duszy dziecięciem, Twojem marzeniem o niebie.*“

Oto ideał niewieści Maryi Konopnickiej. Jako matka—powinna kobieta bez względu na jej stopień społeczny i skalę rozwoju umysłowego—ukochać dzieci najgłębszą miłością macierzyńską i przed żadną dla ich dobra nie cofać się ofiarą... Jako małżonka—powinna być pomocnicą i duchową podporą mężczyzny—dać mu w życiu ciche i trwałe szczęście, być dla niego ideałem dobra i piękna. Wysoko ceni w kobiecie Konopnicka przywiązanie do strzechy rodzinnej i swojego gniazda. Jako pracownica w społeczeństwie, powinna mieć kobieta samodzielność, gorące zamilowanie swego zawodu i wiarę w przyszłe plony swej pracy; powinna mieć energię i dobrą wolę i wytrwałość.

Na Konopnickiej zakonczymy szereg poetek naszych, w których utworach dopatrzyliśmy się znamiennych rysów idealnej postaci niewieści. Widzieliśmy, że niemal powszechnym, najczęściej powtarzającym się u poetek obrazem jest ideał kobiety, jako arcykapłanki domowego ogniska, jako wzorowej małżonki i matki. Obok niego i na równię z nim wysokości stoi ideał kobiety poświęconej Bogu, zakonnicy i siostry miłosierdzia. Mniej jest uwzględnione stanowisko kobiety w społeczeństwie—jako cichej i skromnej, a pożytecznej nieraz pracownicy. Nakoniec—próżno byśmy szukali w utworach poetek polskich postaci kobiety samodzielnej w postępowem słowa tego znaczeniu, postaci lekarki, filozofki, kobiety oddanej nauce lub pozostającej na urzędzie. Nie wyda nam się to dziwnem, gdy weźmiemy pod uwagę, jak mało pierwiastku czystej poezji dopatrzyć można w emancypacyjnym ruchu kobiecym. Dopóty też postać niewiasty jaśnieć będzie pięknosciami i idealnym urokiem w poezji, dopóki kobieta nie zrzecze się dobrowolnie poezji w życiu.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ich częściach

przez

Maryę Łopuszańska.

(Dalszy ciąg)

Szary ranek zaświtał, kiedy wyjechano na otwartą przestrzeń, gdzie tylko z rzadka widać było porożrzucane drzewo, w oddaleniu zaś majaczyła wieś jakaś. Skoro słońce, podniósłszy się, oświeciło okolicę, ujrano znów nadciągający jakiś zbrojny oddział. Pan Jan wyjechał natychmiast na czoło swej chorągwi, by zobaczyć, zali to przyjaciel lub wróg się zbliża. Kasztelanowa i obie panny wyjrzały także niespokojnie przez okno kolaski, bojąc się nowej zaczepki. Oddział miał barwy Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego na sobie, a że był liczny, można więc było obawiać się, że nie da spokojnie przejść dragonom marszałka nadwornego. To też żołnierze uszykowali się, gotując się odeprzeć wszelką napad. Jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzeli swego porucznika, ściskającego się serdecznie z dowódcą nadciągającego hufca.

Pan Jan, podjechawszy bliżej i spojrzawszy w twarz nowoprzybyłego, zawołał uradowany:

— Andrzej! A zkadź się tu wziął bracie?

I pomknąwszy ku niemu konia, znalazł się w jednej chwili przy nim i począł się z nim ścisnąć po bratersku

— Toż mi tam we wsi dano znać, że nadciągają Zborowczyki, więcem kazał żołnierzom się szykować i ruszyłem na ich spotkanie,—odrzekł pan Andrzej z uśmiechem, ściskając mu rękę. Ale mi nawet do głowy nie przyszło, że spotkam ciebie.

— Ani mnie również, a właśnie niedawno wspominałem o tobie, bom po tobie zatęsknił, a nie wiedziałem gdzie cię szukać.

— No, ale słuchaj, wszak to my teraz jesteśmy dwoma wrogami,—ozwał się pan Andrzej,—więc jakże to będzie? Jeszcze wojewoda mię zbурczy, gdy się dowie, że cię z moich rąk wypuścił.

Obaj zaśmieli się na te słowa, a pan Andrzej mówił dalej:

— Wiesz co, najlepiej zrobimy tak, jak owi dwaj znajomi, którzy się z sobą spotkali, gdy hetman szturmował Wiślicę. Jeden z nich, zoczywszy drugiego w przeciwnych szeregach, rzecze mu:

— A idź że do stu dyabłów, panie Pawle, czego leżysz, gdy cię nikt nie prosi!

— Możemy sobie tak samo rzec — odparł pan Jan, śmiejąc się

— A cóż ty tu robisz? — pytał pan Andrzej. Widzę jakaś kolasa i fraucymer za nią jedzie.... Ejże, gadać, co to za zdobycz wojenna?

— Zaraz ci wszystko powiem,—rzekł pan Jan i począł mu opowiadać swoje spotkanie z kasztelanową.

Pan Andrzej nie spuszczał z niego oka przez ten czas.

— A któż więcej jest z panią Kłoczewską? — zapytał.

— Wszak mówiłem ci, że jest moja siostra.

— No, już wiem—a oprócz niej?

— Jest druga jej siostrzenica, panna Ewa Herburtówna...

— A, już wiem,—odrzekł pan Andrzej, jakby do siebie. To ty, bratku, podróżujesz w milej kompanii. Ale myślę, że i mnie onym paniom zechcesz przedstawić?

— Jak najchętniej—pójdźmy!—rzekł pan Jan, wspiąwszy konia i kierując się ku kolasce.

Gdy się obaj zbliżyli, Magdzia ze zdziwieniem poznała owego oficera od armat. Kasztelanowa również go sobie zaraz przypomniała i rzekła:

— Trzeci raz już się spotykamy, ciekawam, czy i on nas pozna?

Pan Jan przedstawił przyjaciela wszystkim paniom, gdy nagle Magdzia, wspomniawszy scenę z armatami, wybuchła szczerym śmiechem, ku wielkiemu zmieszaniu Ewy, a zgorszeniu kasztelanowej.

— Magdziu! — upomniała ją z surową miną.

— Nie, ciociu, — tłumaczyła się zawstydzona i zła na siebie,—ja tylko przypominałam sobie...

— Ową przygodę z armatami, — dokończył pan Andrzej, bynajmniej niezmiuszony, ani urażony. Ja także przypominałem ją sobie, gdy wacpanne ujrzał,—dodał z uśmiechem, który nadał przyjemny wyraz jego urodziwej, męskiej twarzy.

— Słyszałem już coś o tem od Magdzi,—rzekł pan Jan. Więc to ty byłeś?

— Tak, tak, — potwierdziła kasztelanowa uprzejmie, — i ja natychmiast poznałam wacpana, który nam dwa razy taką oddał przysługę.

— Mościa pani kasztelanowo, nadto łaskawie to osądziście. Każdy na mojem miejscu zrobiłby to samo.

— Magdziu,—rzekł pan Jan,—mówiłaś niedawno, że chciałabyś poznać jakiego Podolaka, oto go masz przed sobą...

— Więc wacpan jesteś rodem z Podola?—spytała kasztelanowa.

— Tak, pani kasztelanowo, choć rodzina moja pochodzi z małopolskiej ziemi i ojciec dopiero wywędrował w tamte strony. Teraz znów powróciłem tutaj, bo mi wuj zostawił wioskę w Sandomierskiem...

— A w której okolicy?

— Blizko Kazanowa,—odrzekł pan Andrzej. Nie byłem tam prawie jeszcze, bo mię inne sprawy trzymały gdzieindziej.

— Ciociu,—zawołała Magdzia, to przecie w naszych stronach?

— Tak?—rzekł pan Andrzej. Więc mamy być sąsiadami? Bardzo to szczęśliwie dla mnie.

— Nie wiem co w tem wacpan tak szczęśliwego znalazłeś,—odparła Magdzia, rumieniąc się lekko.

— To już moja rzecz,—odrzekł pan Andrzej, zawsze z tym samym szczerym uśmiechem, który dziwnie rozjaśniał jego twarz ogorzałą.

Był niezbyt wysoki; układ jego cały odznaczał się spokojem i prostotą, a wyraz oblicza prawy i stanowczy łagodziło spojrzenie siwych oczu, jasne, otwarte, i pełne serdecznego wylania, odrazu zyskujące mu życzliwość ludzką i zwiększającą się jeszcze w miarę przebywania z nim.

Magdzia patrzyła na obu młodych, gdy jechali z dwóch stron kolaski i porównywała ich mimowoli z sobą; z przyjemnością uznała, że jej Janek był piękniejszym z tą swoją rycerską, wyniosłą postawą i dumną głową, ale tamten miał w sobie coś, co zaraz, od pierwszego wejrzenia, budziło doń zaufanie.

— Jak to dobrze, że Janek wybrał sobie takiego przyjaciela,—pomyślała mimowoli.

Po pewnym czasie rozmawiała już z nim tak swobodnie, jak gdyby go oddawna znała.

Pan Jan tymczasem, jadąc z drugiej strony kolaski, rozmawiał z Ewą, kasztelanową zaś spoglądała tylko na wszystkich, rzadko wtrącając od siebie jakieś słówko.

Pan Andrzej kazał postępować wolno swemu oddziałowi z tyłu, a tak nieprzyjacielskie wojska szły obok siebie w najprzekładniejszej zgodzie. Tak dojechano do niewielkiej wioski, gdzie się zatrzymano, aby panie mogły spocząć po całonocnej podróży i przestraszu.

Skoro obaj przyjaciele znaleźli się sami, pan Andrzej rzekł:

— No, chętniebyś się z tobą pomieniał na miejsce, byle tylko strzedz takich skarbów w drodze. Sam nie wiedziałem, gdzie oczy zwrócić. Tylko bądź spokojny—dodał po chwili,—nie mam zwyczaju leżeć w cudzą grzędę, ale czyż nie mogę spojrzeć choć na taką, gdzie nikt jeszcze nie gospodarzy? Sądzę, że nie będziesz się gniewał o to.

— Nietylko, ale sam ci nawet do niej drogę ukażę,—rzekł pan Jan z uśmiechem, ściskając mu rękę. Nie myśl jeno, że to mała rzecz; tylko tobie jednemu, którego jak brata miłuję, mogę to zrobić, innegobym tak łatwo nie wpuścił; tutaj nie dla każdego wrota otwarte, trzeba wpierv zasłużyć, by je otworzono. Tak, ty jeden tylko na świecie wart jesteś takiego skarbu, więcej nikt!

— Dziękuję ci, bracie,—rzekł pan Andrzej z prostotą, ściskając mu rękę. A ja tobie wzajemian ot co powiem. Ta twoja panna piękna jak obraz cudowny, nie przeczę, ale takie to jakieś subtelne a kruche, że jabym się bał przystąpić do niej, by jej nie złamać. To tylko dla pańskich ogrodów kwiat taki...

— Ale widzę,—dodał—spojrzawszy mu w twarz uważnie, że daremnym byłoby trudem przemawiać ci do rozumu teraz, — więc dam lepiej pokój...

— Mnie tylko jednego żal,—rzekł pan Jan w zamyśleniu — że się to tak prędko już skończy...

— Co się skończy?

— Ta podróż. Będę musiał niedługo wracać,—rzekł z westchnieniem.

— Oj, coś mi się widzi, że z wacją bardzo źle,—mówił pan Andrzej z uśmiechem. Ale przecie nie na wieki odjeżdżasz, jak myślę?

— O, powrócę niedługo, choćby mi tysiąc przeszkód stanęło na drodze!—zawołał pan Jan. Głupi byłem, że mi się dało wciągnąć do onej paraty przekłętą, ale teraz nie chcę już z nimi trzymać dłużej...

— Chwałaż Bogu, że ci się choć teraz oczy otworzyły,—rzekł pan Andrzej. Ja bo właśnie chciałem pomówić z tobą w tej materii, bo prze-

cie grzech jest służyć obcym i wicherzycielom, kiedy mamy swego króla, obranego i koronowanego. Ależ widzę, że tu już ktoś lepiej odemnie pracował i wskazał drogę powinności...

— Nie posądzaj mnie, że dlatego tylko chcę rzucić Maksymiliana. — przerwał pan Jan. Nie chciałbym w twoich oczach uchodzić za człowieka słabego, za chorągiewkę na dachu, bo wiesz dobrze, jak dbam o twoje dobre mniemanie. Ale, widzisz, trzymały mnie tam różne przychyny pomimo mojej woli, — kiedyś ci opowiem wszystko...

— Nie posądzałem cię przecie o nic złego, bo inaczej czyżbym cię powitał z dawnym sercem, — odparł pan Andrzej poważnie. Wierzę, że raz wszedłszy na tę drogę, nie mogłeś się zawrócić później, bo tak bywa bardzo często w życiu, — ale nadto cię znam, bym mógł myśleć choćby na chwilę, iżes dla promocy i fortuny zaprzedał się Zborowskim.

To mówiąc, podał mu rękę, którą pan Jan mocno uściśnął.

— A mnie właśnie leżało na sercu od samego początku naszego spotkania, żeby się przed tobą usprawiedliwić z tego, żeś mię spotkał w szeregach Maksymiliana, — rzekł z uczuciem ulgi. Teraz to mi już niczego nie brak do szczęścia!

Niedługo ruszono znów w dalszą drogę, bo dopiero w Odroważu miano zatrzymać się na dłuższy wypoczynek. Pan Andrzej szedł ze swoim oddziałem, ku Steżycy, więc mu także wypadała ta sama prawie droga co i kasztelanowej, tak więc kompania wciąż była liczna i ożywiona.

Michał Zawala przez cały czas nie odstępował od sąń, na których jechał fraucymer, a wszystkie panny były rade temu, uważając go za wielce grzecznego i dowcipnego kawalera. To też tak się przejął tą swoją rolą, że pan Jan, chcąc mu w drodze dać jakieś polecenie, nie mógł go znaleźć:

— Michał, a gdzieżeś ty się zaprzepaścił? — zawołał, ujrawszy go wreszcie. — Wiecznie tam koło tych dziewcząt się kręcisz, że cię nie widać nawet...

— Trudna rada, panie poruczniku, — rzekł Michał, przymrużywszy jedno oko, i patrząc na swego pana z miną pełną znaczenia i dowodząca, że i on też nie ślepy, i widzi dobrze co się święci.

Pan Jan, że sam był rad w duszy, więc go poklepał po ramieniu z uśmiechem, a on dodał, usprawiedliwiając się:

— Bo to, proszę pana porucznika ta panna Petronela to ci taka ognista panna, żem jeszcze w życiu drugiej takiej nie widział...

Około południa zatrzymano się w Odroważu na popas. Pan Jan dowiedziawszy się od żyda w gospodzie, że w miasteczku znajduje się jego znajomy, rotmistrz Turowski, poszedł go odwiedzić i dowiedzieć się zarazem czy nie ma jakichś nowych rozporządzeń z głównej kwatery, Pan Andrzej został w gospodzie z paniami, które go poczęły wypytywać, jak dawno znajomy jest z panem Janem i gdzie się spotkali po raz pierwszy.

— Poznaliśmy się z sobą zaraz po jego przybyciu na Ruś, do pana Jazłowieckiego, w którego hufcach wówczas służyłem, jako towarzyszy husarski, — odrzekł pan Andrzej. — I tak się zdarzyło właśnie, że on został zapisany do tejże samej chorągwi co i ja, więc prędko przyszło między nami do bliższej konfidency, jak to zwykle między kolegami bywa, zwłaszcza żeśmy jakoś odrazu przystali do siebie, mimo iż natury nasze tak są odmienne. On był zawsze ogniem, ja wodą...

— Ja też myślę, że musiałeś go waszmość nieraz mitygować, — rzekła kasztelanowa.

— O, bardzo często, — odrzekł pan Andrzej. — Prawda i to, że jako starszy o lat kilka; miałem więcej zastanowienia, niż on, który był wówczas jeszcze przez pół dzieciakiem, zapalczywszym jak ogień... Nieraz też stawałem w jego obronie, bo u naszych Podolaków żaden przybysz ze stron dalszych niema miru z początku, dokąd się nie przekonają, że nie za piecem chowany i potrafi dotrzymać pola każdemu. Przytem

i starosta dość go lubił i łaskawie traktował, co także było solą w oku niektórym. Dość, że nie szcędzili mu zrazu uszczypliwych żartów i docinków, a że i on nie z takich, co by zniósł cierpliwie podobne rzeczy, więc nie obeszło się tam i bez rąbaniny...

— To teraz się dowiemy i o onym sławnym pojedynku, — rzekła kasztelanowa.

— Zaraz się waćpanie dowiedziecie. Otóż, jak powiedziałem, nieraz mi przyszło stanąć w jego obronie, gdy mu dokuczano, za co mi ten gorący chłopak ofiarował dożgonną przyjaźń. Nie wiem co on sobie upatrywał do mnie, bo co prawda tom mu nie folgował nigdy; gdy mi się cośkolwiek w jego postępkach nie podobało, mówiłem mu prawdę w oczy, i on, który się tak łatwo na innych urażał, ode mnie zniósł wszystko...

— Bo odrazu waćpana ocenił wedle wartości, — ozwała się kasztelanowa.

— Waszmość pani jest zbyt na mnie łaskawą, — odrzekł pan Andrzej, skłoniwszy się. — Ale będę mówił dalej: Raz zdarzyło się, żeśmy się z sobą pogniwiali, a było to z przyczyny pewnego oficera, Niemca, człeka nie najlepszej sławy, którego starosta trzymał na swym dworze, bo był sprawny do armat, — ale przytem hulaka, i kosterka, jakich mało na świecie. Ze jednak był zręczny, układny, wesoły i krotchwilowy, więc z młodzieży niektórzy poczęli lgnąć do niego, a on zachęcał do różnych wybryków. Otóż o niego nam poszło: ja, widząc że Jan także z nim zaczyna zbliżać się, więc oświadczyłem, że mi się konfidencyja nie podoba, i że musi wybierać, kto ma być nadal jego przyjaciелеm, ja, czy ów przybłęda. Rozeszliśmy się markotni na siebie, i nawet nie uściśnaliśmy sobie rąk na pożegnanie, — a właśnie wtedy zostałem przez starostę wysłany do Lwowa w pewnej ważnej sprawie. Zabawiwszy tam parę tygodni, wracam i dowiaduję się, że Jan, ujmując się za mnie, poniósł ciężką ranę w pojedynku. A trzeba waćpaniom wiedzieć, że niedawno właśnie przybył do Chwastowa pewien szlachcic z ziemi Braclawskiej, rębacz srogi, który się chwalił tem, że już kilkunastu przeciwników trupem położył. Nie wiem już za co miał on jakowąś złość do mnie, i raz w obecności Jana zaczął mię szkalować poza oczy, a że to chłopak w gorącej wodzie kąpany, więc nie namysławiając się wyzwał go na rękę. Szlachcic przywykły, że mu wszyscy ustępowali z drogi, bo był silny jak byk, począł dworować sobie z gołowasa, któremu znać życie już zbrzydło. Wszyscy też mówili między sobą, że ten szalony Sandomierzanin chyba się wściekł, kiedy tak samochcąc szedł na stracenie, stając do walki z takim Goliatem. Przyszło do spotkania, w którym Jan, choć dzielnie stawał, został pokonanym jak się łatwo domysleć, — podniesiono go napół żywego, ale odrazu też sobie zdobył przyjaźń i estymę całego dworu. Sam starosta niby tam się trochę gniewał i głośno powiedział, że gdyby nie był ranny, to by go kazał zamknąć razem z jego przeciwnikiem, ale wszyscy widzieli, że od tej pory zaczął go więcej jeszcze lubić i cenić. Ja zaś, skoro mi to wszystko rozpowiedziano, pobiegłem zaraz do tego szalonego chłopca; znalazłem go jeszcze złożonego niemocą, bo ów okrutny Braclawczyk srodze go parąbał, ale gdy wszedł, to mu się oczy zaświeciły wielką radością, i rzekł do mnie te tylko słowa: „Przebaczasz mi?” Byłby chyba z kamienia, ktoby mu nie przebaczył, a cóż dopiero ja, który żywiłem i tak dla niego iście braterski afekt. Więc choć czułem, że należała mu się reprimenda za owo niebaczne nadstawianie głowy za drugich, nie już nie mówiłem, jeno uściśnaliśmy się w milczeniu. I owo tak przyjaźń nasza została przypieczętowaną...

Gdy skończył mówić, nastąpiła chwilowa cisza, Ewa milczała, by się nie wydać ze swoim wzruszeniem, Magdzia zaś myślała nad tem co usłyszała, — aż pan Andrzej do niej się zwrócił, zapytując półgłosem:

— Cóż waćpanna nie nie mówisz? Czy może wywołałem czem jej niezadowolnienie?

— Nie, tylko cieszyłam się w duchu, że Janek ma w waćpanu takiego prawdziwego przyjaciela, — rzekła, podając mu rękę.

Gdy to mówili, do izby wszedł pan Jan.

— Dobrze, że waćpan przychodzisz, — rzekła kasztelanowa, nie zwróciwszy uwagi na jego twarz zmienioną, — bo już czas ruszać w drogę, kazałam już zaprzęgać. Ale, ale, — ozwała się po chwili żartem, — piękne tu rzeczy usłyszałyśmy o waćpanu, — już teraz dowiedziałyśmy się całej prawdy o onym pojedynku...

— Ah, więc to Andrzej bawił waćpanie opowiadaniem o onym nieszczęsnym pojedynku, który taką ciekawość budził w Magdzi, — rzekł pan Jan, siląc się widocznie na wesołość.

— Co ci jest? — spytał go pan Andrzej na stroonie, wyczytawszy w jego twarzy jakieś wzruszenie i niepokój.

— Wyjdźmy na podwórze, — rzekł pan Jan, biorąc go pod rękę. Skoro się znaleźli sami, rzekł mu szybko: — Słuchaj, rotmistrz Tarnowski przywiózł rozkaz, by wszystkie nasze wojska jak najprędzej ściągały do Wielunia, bo słychać, iż Zamojski wyruszył z Krakowa ku granicy, — widziano już nawet niedaleko ztąd wojsko Koniecpolskiego.

— Tak, i ja również słyszałem, że hetman ruszył już z Krakowa przed trzema dniami.

— Jeśli tak, to napewno zajdzie bitwa; — rzekł pan Jan, patrząc przed siebie posępnym wzrokiem, — i wszystkie moje zamiary pójdą w niwecz...

— Jakto? — spytał pan Andrzej.

— Nie mogę przecież opuszczać szeregów w przeddzień bitwy, bo któż uwierzy, że nie przez tchórzostwo to czynię? — wyrzekł pan Jan z rozpaczą w głosie. — Powiedz sam, wszak to jest niepodobieństwem!...

— Tak, nie możesz tego zrobić, — rzekł pan Andrzej, bo toby cię zhańbiło.

— Więc trzeba iść tam gdzie przeznaczenie woła, — wyrzekł pan Jan z posępną rezygnacją. A jam myślał, że już się wyrwę raz z tego zakłętą koła!

Po chwili jednak po męzku przewyciężając gwałtem wzruszenie, zapytał spokojniejszym głosem:

— Dokąd idziesz ze swoim oddziałem?

— Do Steżyny.

— Więc ci prawie jedna droga wypada z nimi. Ponieważ ja nie mogę nadal osłaniać je w podróży, zajmij moje miejsce, — oddaję ci je w opiekę.

— Bądź spokojny, doprowadzę je bezpiecznie do samego domu, — odrzekł pan Andrzej, ściskając mu rękę, poczem obaj udali się do pań, które już czekały ubrane do drogi.

— A nadczem waszmościowie tak się narażacie? — spytała kasztelanowa.

Pan Andrzej wówczas opowiedział w krótkich słowach o przeszkodzie, która zatrzymywała pana Jana.

— Odjeżdżasz Janku, — rzekła Magdzia z żalem. — Ale prędko powrócisz do nas, nieprawdaż?

— Ja nawet nie żegnam się z waćpanem, — rzekła kasztelanowa, patrząc nań znacząco, — gdyż w tych dniach spodziewam się ujrzyć go znów. Czy tak? — spytała, spoglądając mu badawczo w oczy. — Mogęż rozpocząć kroki pojednawcze między waćpanem a stryjem?

— Tak, pani kasztelanowo, — rzekł pan Jan, pochylając się do jej ręki, iż nie zauważyła wcale bladeści na jego twarzy.

Ewa milczała, lecz przez cały czas czuła na sobie jej wzrok wlepiony, wyrażający nieme pytanie i prośbę. Odwracał się, by się z nim nie spotkać, lecz ściagał go wciąż swoim wyrazem smutku i niepewności.

A tu jeszcze musiał udawać wesołość i nie okazywać tego, co się w duszy działo; przyjmował przyjazne słowa, jakimi go żegnała kasztelanowa z takim uczuciem, z jakim by przyjmował jakąś niezasłużoną nagrodę.

Wreszcie zbliżył się na końcu do Ewy, by się z nią pożegnać.

— Spodziewam się, — rzekła głosem cichym, — że wkrótce ujrzemy waćpana? Za kilka dni,

nieprawdą?—dodała, podnosząc nań swe cudne oczy.

Nie mógł wreszcie znieść tego spojrzenia, w którym tkwiło pytanie, na jakie niepodobna mu było odpowiedzieć.

— Nie wiem, sądzę że tak, — odrzekł, wahaając się. Poczem z nagłym wysiłkiem dodał półgłosem: — Panno Ewo, a jeśli bym ja nie mógł zaraz powrócić..?

Lecz zatrzymał się, bo w oczach jej zaświeciły taki żal i wyrzut zarazem, że głos mu zamarł w piersiach. Wzrok ten zdawał się mówić: „Jakto, więc mógłbyś zawieść zaufanie, jakie w tobie położyłam?”

— I dlaczegożbyś waćpan nie mógł wrócić? — spytała głosem, w którym już lży czuć było. — Dlaczego?

— Nie, nie, powrócę, chybabym zginął! — zawołał, i ścisnąwszy podaną mu drżącą rączkę, wybiegł szybko na podwórze, by nikt nie dostrzegł świecącej mu w oku lży, której się wstydił, jak nie męskiej słabości.

Kasztelanowa zatrzymała się, aż wyruszy hufiec pana Andrzeja; tymczasem chorągiew pana Jana uszykowała się już na drodze; on sam wskoczył na koń i krzyknął: „Ruszać!” pomknął szybko naprzód, a za nim oddział cały, który niebawem zniknął na zakręcie drogi, z oczu patrzących.

Kasztelanowa uczyniła w tej stronie krzyż w powietrzu, a Ewa blada i zamysłona patrzyła wciąż w ową dal bezgraniczną, kędy znikł odjeżdżający.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z HISPANII.

Madryt, ostatnie dni Maja.

Gdy się czas dłuższy przebywa w jakimś kraju, niepodobieństwem jest pozostać obojętnym na to, co ogół w nim przedewszystkiem zajmuje. Można zapatrywania, porywy owego ogółu podzielać, albo zachować się względem nich z niechęcią, nawet z pogardą, niespostrzeżone jednak przejść one nie mogą.

Niedawno, bo przed kilkoma zaledwie tygodniami, poruszałem na tem miejscu kwestyę barbarzyńskich igrzysk, które w tym miesiącu znajdują się w pełnym „sezonie,” rozpoczynając wszakże list niniejszy, nie mogę pominąć milczeniem wielkiej uroczystości, noszącej niedorzeczne miano „patryotycznej walki byków „Corrida patriotica.”

Zaiste patryotyczną była owa „Corrida,” podczas której cały ten uniesiony do szału tłum ani przez chwilę nie pomyślał o tem, czy tam hiszpańska flota nie znajduje się w jakim poważnem niebezpieczeństwie i dla którego bohaterami nie byli walczący za oceanem żołnierze, lecz dwaj przybrani w zielone i fioletowe jedwabie torreadorowie Gueritta i Massantini. Całe miasto było w poruszeniu. Kto nie zdołał dostać miejsca w cyrku, stał na placu, na ulicy, aby choć widzieć szczęśliwców, spieszących na tę wstępną zabawę.

Opisywać widowiska nie będę; różniło się ono od innych tego rodzaju większą jedynie ilością koni, poświęconych najpiękniejszym okazom byków, jakie na ten dzień zachowane zostają.

Kiedy przesycony widokiem rozlewanej krwi biednych zwierząt, przenikniony odrazą do szalejącego tłumu, odwróciłem oczy, chcąc myślom sąsiada mego nadać inny kierunek, zagadałem do niego po hiszpańsku: „Biedni ci żołnierze, których wysłano na Filipiny...” Sasiad mój spojrzał na mnie błyszczącymi od wewnętrznej przejęcia oczami i odpowiedział z zapalem: „Ach prawda! że też oni nie mogą widzieć tego!”

Myliłby się bardzo ten, ktoby sądził, że dzień poświęcony owej „Corrida patriotica,” jest dniem

wyjątkowym, w którym jedynie przywiązanie do tradycyi unosi Hiszpanów, i że po tym dniu inne, lepsze uczucia ożywiają synów Iberyjskiego półwyspu. Niestety, muszę zaprzeczyć temu. Od samego początku wypowiedzenia wojny, uważałem dziwny brak zajmowania się losem zagrożonych współbraci. Mała garstka szlachetniej myślących, kilku wybitniejszych polityków i kilku zwykłych karyerowiczów, mówią trochę głośnie o wypadkach na Filipinach, ogół pali papierosa i czeka obojętnie—co będzie.

W trzy dni po katastrofie pod Manilą miały miejsce pierwsze wiosenne wyścigi w Madrycie. Oddawna podobno nie pamiętają tak świetnego zjazdu, takich strojów i gry tak wysokiej.

Teatry dotychczas nie zamknięte, uczęszczane są jak za najweselszych, najlepszych czasów. Na operetkę trzeba na kilka dni zawczasu zamawiać bilety.

Główną charakterystyką dzisiejszego Hiszpana, przedewszystkiem zaś mieszkańców Madrytu, jest — próżniactwo, bezprzykładne, nieprawdopodobne próżniactwo. Nic nie jest w mocy wyprowadzić Hiszpana z jego półsnu błogiego, chyba nóż przyłożony do gardła, albo — walka byków. Dla tego to, obywatele tego, przez poetów opisywanego kraju, nie zadają sobie trudu zajmowania się przebiegiem wypadków na Kubie.

Hiszpanja przez dziesiątki lat wyciskała ową wyspę jak cytrynę. Dziś kwestya kubańska jest dla Hiszpana przedewszystkiem kwestyą próżności. Drażni to trochę, ale nie zarysowywa się głęboko. Gromy dalekich armat nie zagłuszają okrzyków na cześć torreadora.

Ach, widziałem ja takich, dla których kwestya kubańska nie była kwestyą próżności jedynie. Podczas mego pobytu w Kadyksie, przybył właśnie w mojej obecności okręt z Hawany z chorymi i do domu odesłanymi rezerwistami. Po między „zdrowymi,” których nie pożarł piekielny klimat, nie było ani jednego, na którego widok matka nie zalałaby się łzami. Biedacy przywieźli sobie pamiątkę z owej perły Antyllów, — perłami dla nich były lży.

Wspaniałe muzeum w Prado, z pomiędzy trzech, czy czterech, jedno z najwspanialszych muzeów na świecie, opowiada historię Hiszpanii jak otwarta księga. Portrety Velasqueza i poprzemnika jego Sanchez Coello są prawdziwymi przyczynkami do historii. Jakże oni subtelnie umieli po przez wspaniałość i przepychy strojów i klejnotów, po przez napuszoną upozowania, wykazać smutną nędzę rzeczywistości!

Weźmy za przykład choćby tylko dwa portrety Sanchez Coello: portret Don Carlosa i portret siostry jego infantki Donny Izabelli Klary Eugenii. Don Carlos i Donna Izabella na portretach owych przedstawieni są w wieku od 15 do 10 lat. Don Carlos blady, niedokrwesty, oczyma chorowite i zapadnięte skronie. Cała jego postać wydaje się tchórzliwą, jakby wystraszoną. Infantka, z ręką wspartą na poręczy wysokiego krzesła, stoi wyprostowana sztywno. Strój na niej nader kosztowny, suknia z ciężkiej materii jedwabnej, zdobna jest guzami z drogich kamieni i pasem takimiż samymi kamieniami wysadzonym; drobne palce infantki pokryte są pierścieniami, dziewczęca postać zda się ujętą być jak w kleszcze w twarde, obcisły stanik, a z białej, karbowanej, w formie tulipana kryzy wylania się twarzyczka bledziuchna, mizerna, z takimi samymi bezkrwistymi ustami, jak usta Don Carlosa i z bezgranicznie smutnymi oczyma. Na główce, skąpo okrytej ciemnymi włosami, piętury się niesmaczne przybranie, przeciężone perłami, świecidłami, i z wysoko upiętymi strusimi piórami. Można sobie wyobrazić, jak przybranie takie uciskało biedną główkę wątłego dziewczątka.

Tak wyglądały dzieci Filipa II. Czy patrząc na te podobizny, myśl nie zwraca się mimowiednie do zimnego, ponurego, klasztorowego labiryntu przy ówczesnym Eskuriale? Czy nie widzi się oczyma wyobraźni tych nieszczęśliwych dziecięcych postaci, błądzących między murami, do których nigdy nie zaglądał promień słońca, gdzie nigdy nie przedostało się ożywcze tchnienie wiosny? Poseł francuzki przy dworze hisz-

pańskim, Fourquevaulx, w liście swym do Katarzyny Medici, ubolewał nad losem infantki, która wzrastała bez powietrza i bez słońca.

A przecież Filip II-gi kochał swoje dzieci, szczególnie zaś kochał córki. Kto chce poznać prywatne jego życie, niechaj przeczyta listy pisane do córek czasu pobytu jego w Portugalii, t. j. roku 1581—83, zatem wkrótce po powstaniu Niderlandów. Listy owe wydane są przez Francuza Gacharol i stanowią nader ciekawą księgę. Król hiszpański z nadzwyczajną tklivością rozwodzi się nad najdrobniejszymi szczegółami, tyczącemi zdrowia dzieci, ich zajęć i zabaw, wypytuje ile każde z nich urosło, każe sobie przysyłać miarę każdego, a między te ojcowskie czułości, ku rozrywce dzieci, wpłatają taką wzmiankę:

— „Wczoraj ja i mój siostrzeniec, byliśmy świadkami autodafé. Przyglądaliśmy się temu widowisku z okna, słyszeliśmy i widzieli wszystko doskonale. Przyniesiono nam papier z wypisanymi nazwiskami niegodziwych kacerzów. Przesyłam wam tę listę, abyście wiedzieli kogo stracono. Jak już będę w domu, to i wam kiedy pokażę takie widowisko.”

Biedne dzieci, nie dziw, że wyglądały blade i mizernie..

Toledo.

Zostawiam teraz Madryt, który z początkiem Czerwca staje się bardziej nużącym jeszcze nudą i ospałością i na czas pewien idę wędrować po innych pamiątkowych miastach Iberyjskiego półwyspu, rzucając o każdym choć pobieżną wzmiankę.

Zaczynam od Toledo a zaczawszy od tego grodu, przedewszystkiem wspomnieć muszę o katedrze. Katedra w Toledo jest jedną z najbogatszych nie tylko w Hiszpanii ale w całym świecie.

W chłodnej nieco ciężkiej gotyckiej świątyni błąka się człowiek jak w prawdziwym muzeum sztuki. Dzieła rozmaitych epok i mistrzów gromadzone tu od pięciu wieków piętrzą się jedna nad drugimi, począwszy od geometrycznych arabskich architektury maurytańskiej, którą głównie podziwiać można w nawie środkowej skończywszy na strojnych marmurowych fantazyach barocco, z XVIII-go stulecia, przyczepionych do starych poważnych płaskorzeźb, — nie brakuje okazji żadnego stylu.

Szczególniej piękne są staro-hiszpańskie rzeźby w drzewie, przy stalach i szafach na chórze. Nie są one może tak harmonijne i wykończone jak współczesne im rzeźby, znajdujące się we Florencyi, posiadają jednak więcej ruchu, życia i jakiegoś energicznego realizmu. Snycerstwo jest jedną ze sztuk, która w Hiszpanii doszła prawie do zupełnego upadku.

Nie pamiętam, aby po Campanii rzymskiej widok jakiś tak smutny wywarł na mnie wrażenie jak widok miasta Toledo, przeciętego ciemnymi nurtami Tagu. Tylko, że Campania, obok smutku, nie posiada tak przykrych rysów charakterystycznych, jakie oblekają panoramę Toledo, nie wycierają w niej na każdym kroku pamiątki, wspomnienie których zimnym przejmując dreszczem.

Podróż po Hiszpanii jest szeregiem ciągłych niespodzianek, tam, gdzie się spodziewamy ujrzeć coś przyjemnego, spotyka nas wrażenie przykre, tam gdzie przygotowani jesteśmy, że przemówią do nas z powagą zamierzających czasów historyczne pamiątki, widzimy jak np. w Madrycie strojne tłumy i mody paryżkie. Trzeba zawędrować do Toledo, żeby się przejąć duchem w owe czasy, kiedy Maurowie bronili Granady.

Właściwe miasto rozciąga się po prawym brzegu Tagu wznosząc się amfiteatralnie na kamienistym gruncie. Białe szare, mało ożywione, wygląda jakby martwe, jakby zatruty powiew z pustyni pozbawił go życia, Toledo nie ma pozoru owej zdrowej, czerstwej starości, jaki

charakteryzuje dawne grody północy, gdzie świeży liść bluszczu w ruiny się wplata, ma ono w sobie coś obumarłego a zarazem groźnego, wygląda jak widmo straszne.

Bezwiednie myśl wraca do ofiar, które nieskończonym sznurem ciągnęły przez długi most Alcantara. Ile razy uderzono w dwony zdawało mi się, że się ten most zaludni.

Najpiękniej przedstawia się Toledo w porze dnia, kiedy słońce skłania się ku zachodowi i na białe szare mury rzuca czerwone blaski. To pora jedyna, w której nieco więcej ruchu jest na ulicach i zwykła martwota miasta ginie w jaskrawych promieniach słońca.

*
*
*

Sewilla.

Niemalży zapas cierpliwości i czasu wyczerpać potrzeba, zanim się dojedzie od Granady do Sewilli. Święty Panie! jakież to pociągi! Przez wielki kawałek Andaluzji, na przejechanie którego zwykły pociąg potrzebowałby czterech godzin, tu wlec się trzeba godzin dwanaście. Pociąg zatrzymuje się przed każdą wsią, na którą często nie składa się więcej nad cztery chałupy, na każdym przystanku konduktor gasi pragnienie, a dwaj uzbrojeni żandarmi, nieodzwoni w każdym pociągu i zazwyczaj raczeni w czasie drogi jadłem i napojem przez podróżnych, korzystają ze sposobności, aby się przebiec do następnego wagonu. Zanim pociąg dobiegnie kresu podróży, bywają suto najedzeni a jeszcze lepiej upojeni. Na każdej stacyi pociąg literalnie obłożony jest przez żebrzących dzieciaki, które z całą śmiałością otwierają drzwi wagonów, krzycząc jęki: „Senorito! senorito!”

Podróżny siedzi między temi małemi żebrakami, niesłychaną mocą much i porozrzucanemi po kątach wagonów skorupami od jaj, łupinami owoców, kawałkami chleba, resztkami papierosów i podobnie apetycznymi pozostałościami. Brud i nieporządek jest tak straszny, że nieraz głośny wyraz przekleństwa wybiega na usta.

Z żalem wracałem myślą do opuszczonej niedawno Granady. Tam przynajmniej było trochę zieloności i cieniu, a droga do Alhambry przez olbrzymią, cienistą ulicę, po obu stronach której wznoszą się wiekowe, potężne drzewa, jest prześliczna. Aleję tę zamyka wspaniała maurytańska brama, wiodąca do owego nieporównanego, czarodziejskiego pałacu, w którym ściany są jakby delikatne tkaniny koronek, filary jak lodygi kwiatów, gdzie krok człowieka wydaje się zbyt ciężkim i głośnym. Zachwyt unosi na widok tych cudów. Zębate, arabeskami obramowane okna wychodzą na małe ogródki, istne gaiki, aż duszne od zapachu kwiatu pomarańczowego, pod cieniem palm rozłożystych, chronią się barwne glicynie i szkarłatne róże, zda się, że Hiszpania, w ogóle uboga w roślinność południową, w ogródkach Alhambry zgromadziła wszystko, co tylko w dziedzinie flory posiada najpiękniejszego. Ogródki owe są jakby esencją wonnych różanych olejków, zawartą w kryształowym naczyniu.

Po zachwytach, jakie wzbudza Granada, Alhambra, po wrażeniu, jakie do dziś czyni, aczkolwiek przez czas zepsuty, niemniej zawsze przepyszny meczet w Kordowie, Alkazar w Sewilli, wzniesiony przez Karola V-go, wydaje się śmiesznym naśladownictwem maurytańskich arcydzieł. Wszystko, co w pierwowzorach jest pięknem i naturalnem, tu wydaje się przeładowaniem i sztucznem, co tam jest harmonijnem, tu jest bezładnem. Jest się jakby w pałacu milionowego bankiera, który się po maurytańsku urządził.

Godną widzenia w Sewilli jest katedra. Bedekaer wskazuje wprawdzie inne jeszcze kościoły, pałace i muzea, ale ja Bedekaera pozostawiłem w kufrze i wędrowałem po Sewilli, prowadzony przez Carmen (Bizeta i Merimés'go).

Doprawdy, że nie ma nad nią lepszej przewodniczki. Zdaje się, że dzieło dwóch francuzkich autorów wyczerpuje całą treść tego miasta. Nigdy chyba to, co się nazywa rysem i nastrojem miejscowym, nie było tak wybornie trafionem

i wyczerpanem, jak przez tę dobraną współkę wysokich talentów.

Fabryka papierosów, w której pracowała owa historyczna Carmen, zmieniła się wielce. Niedgdyś pracowało w niej czterysta do pięciuset dziewcząt i kobiet, dziś zajmuje ona pięć tysięcy. Olbrzymi gmach możnaby raczej wziąć za ministerium lub uniwersytet, aniżeli za fabrykę. Miejsca tu dużo, sklepienia wysokie i nic nie przypomina zadymionych fabryk, które często jak więzienia wyglądają. Prawda, że nie brak tu między pracującymi bardzo nędznie wyglądających, tych jest nawet przeważna liczba, ale wszystkie one wesołe są, strojne w kwiatki i takie ruchliwe, że się zdają do ptaszek podobne.

„Cigarreras“ siedzą przy długich stołach, stoły zaś wyżłobione są jak niecki i w wyżłobieniach tych leży brunatny tytoń. Pracownice skręcają go z niesłychaną szybkością, kołysząc się przytem rytmicznym poruszeniem, zaś usta ich pracują równie szybko jak ręce.

Bardziej wszakże aniżeli gwarem i barwnością ubrań pracownic, różnią się te wielkie fabryczne sale od innych sal tego rodzaju obecnością całych zastępów drobnej dziatwy. Wszędzie jej tu pełno i w około stołów i pod stołami i na stołach nawet. Niemowlęta leżą w kołysce, a „cigarreras“ papi, skręca papierosa i jednocześnie nogą porusza kołyskę. Dzieci, po większej części ubrane tylko w koszulki, rozchodząc się po wszystkich kątach, depcą bosymi nóżkami tytoń stojący w koszach, na małych stołeczkach siedzą w posrodku stołów, śmieją się, krzyczą, chwytają za jaskrawe kwiatki, zatknięte we włosy pracownic i rozweselają jeszcze bardziej i tak skłonne do śmiechu dziewczęta.

Śliczne typy widziałem pomiędzy cigarreras Sewilli. Owalne, drobne twarzyczki o rysach wyrzeźbionych jak u starożytnej kamei i oczach czarnych jak węgle, a błyszczących jak zarzewie. Typy te atoli są wyjątkami, większość pracownic jest przedewszystkiem postarzałych przedwcześnie. Odrębnością typu odróżniają się „Gitanillas“, cyganki andaluzyjskie, siostrzyce Carmeny. Skupiają się one zwykle razem i dla innych niechętnie są usposobione.

Poważnie, majestatycznie przechodzi od czasu do czasu przez salę okazała dozorczyń. Pracownice czempredziej ukrywają zapalone papierosy, przestają na chwilę paplać i nader gorliwie kiwają się nad robotą.

Palenie surowo jest zabronione. Wieczorem, przed opuszczeniem fabryki, każda z pracownic jest przez dozorczynię rewidowana.

Carmen Merimés'go, uniesiona gniewem, posilkuje się nożem, tym samym, który jej służy do obcinania cygar; uzbrojone lub nie uzbrojone, w każdym razie „cigarreras“ dziś jeszcze stanowią tłum, trudny do utrzymania w karności.

Zdarzyło się przed dwoma laty, że jedna z pracownic młoda, wybitnie ładna i mimo tego, rzecz dziwna, bardzo przez swoje towarzyszyki lubiana, została, za nie wiem jakie przewinienie, zamknięta w więzieniu. Towarzyszki jej niezadowolone z tego wyroku, tak gwałtowny bunt podniosły, że gubernator Sewilli zmuszony był wyrok uchylić i uwieczoną na wolność wypuścić.

Oddawna już wynalezione są ulepszone maszyny do wyrobu cygar i papierosów, ale w Hiszpanii żaden z fabrykantów nie śmie ich wprowadzić jedynie z obawy buntu swych pracownic. Przedstawiają one ogromną siłę, ponieważ każda z nich znalazłaby poparcie w mężu lub przyjacielu. Wszak kobiety te mają mężów, narzeczonych, dzieci mają ojców, a ci po największej części zabierają tygodniowe wynagrodzenie robotnicy, często z własnej pracy nie dorzucając doń ani grosza.

Falangi próżniaków siedzą w kawiarniach przy grze w karty albo w domino, czasem też zupełnie bezczynnie, z rękami w kieszeniach, marząc o tem żeby zostać torreadorem (jest to marzenie każdego niższej sfery Hiszpana), a tymczasem drobne palce cigarrery z szybkością maszyny skręcają tytoń i płuca tysiąca dzieci wdychają przesiąknięte nikotyną powietrze. Niejedna zmęczona robotnicą, korzystając z odejścia dozorczyń, głowę opiera o stół twardy i zasy-

pia, inne w około gwarzą dalej, każda zaś, mimo nędzy, ma jakąś wesołą historję do opowiedzenia.

W Triana, w gospodzie Lillas-Pastia, „gdzie najlepsze smażone ryby podają“, naznaczyła Carmen swojemu Jose pierwsze spotkanie. Prawdopodobnie Lillas Pastia był jednym z właścicieli licznych gospód przy Calle San Jacinto, kędy nad brzegiem Gwadalkiwiru, wiedzie droga do brudnego przedmieścia. Jeszcze i dzisiaj w gospodach tamtejszych podają istotnie doskonałe smażone ryby, i wyborne, czyste, czerwone lub żółto-złotawe wino. Wszędzie tam znaleźć można ukryty kącik, doskonale nadający się do tajemnej schadзки; ludzie przychodzą tam, aby tańczyć, śpiewać, tam rozgrywają się sceny miłosnych uniesień i szalonej zazdrości.

Około dwóch tysięcy cigarreras mieszka w Triana, wiele tam osiadło także rodzin cygańskich, tam jednak nie mogą cyganie mieszkać oddzielnie, lecz muszą dzielić dach z innymi. Domostwa najczęściej zbudowane są w ten sposób, że wokoło dużego podwórza wznosi się dwupiętrowy budynek z balkonem, ciągnącym się wzdłuż całego wyższego piętra. Tak na dole, jak i wyżej, na owym balkonie jedne drzwi znajdują się obok drugich, a każde prowadzi do oddzielnego locum. Po prawej stronie przy wejściu, w każdym omal bez wyjątku mieszkaniu, czy to na parterze, czy na piętrze, znajduje się palenisko kuchenne, i przy każdym, o danej porze dnia charakterystyczna postać starej, przygarbionej kobiety mieszka w kamiennem naczyniu zupe- z czosnku. Można sobie wyobrazić, jaki zapach rozchodzi się po całym domu.

Podwórce pełne jest napół nagich dzieci i mężczyzn ziewających, wygrzewających się na słońcu i czekających na rychły powrót kobiet z fabryki.

A każde podwórce z osobna i całe miasto razem wzięte jest mieszaniną brudu i barwnego kwiecia, nędzy i słońca, dobroduszości i egoizmu, naiwnej lekkomyślności i szalbierstwa. Surowo sądzone, wydawałoby się straszną nędzą moralną, ale tyle tam jest śmiechu, muzyki i gwaru... a wszak i najmarniejsze wierszydła, najniedorzeczniejsze słowa wydają się pięknymi, jeżeli się one w szatę pięknej muzyki oblecze.

Zetes.

Z RZYMU.

7 Czerwca.

Jesteśmy jak po przejściu burzy... Niby to już nawałnica przeszła, lecz odgłos grzmotów docho- dzi jeszcze z daleka i budzi niepokój, żeby chmu- ry, pędzone wichrem, nie powróciły do nas i wstrząsnęły znowu ludnością Włoch...

Największe rozruchy miały miejsce w Medyolanie, mieście bogatym; w ogóle Lombardczy- cy do niezadowolenia mają najmniej powodów, bo handel i przemysł tu kwitnie. Ale kto zna tutej- szych mieszkańców, ten wie, iż gdy raz coś za- czną, nie ustępują łatwo, będąc w wyższym sto- pniu zaciekli i zajadli, a wtórują im w tem ko- biety i dzieci, te niewinne ofiary, nie wyobraża- jące sobie skutków strasznych, na jakie się nara- żają. Po wielkich rozruchach w Neapolu, Paler- mie, Mesynie, Katanii, Rawennie, Kararze, Pra- do, Forti, Turynie, Liwornie, Pizie, Pawii, Pia- cencyi i t. d., przyszła kolej na Florencję, Me- dyolan i inne miasta i miasteczka włoskie, które się zapalają jakby od iskry elektrycznej, prze- biegającej przez nerwy namiętnych Włochów.

W Medyolanie były rozruchy największe i za- częły się koło fabryki Pirelli, zatrudniającej 2400 robotników. Wkrótce w różnych kącach miasta zaczęto budować barykady, na które zło- żyły się tramwaje, materace, stoły, łóżka, sza- fy, krzesła, szyldy. Pierwsza taka barykada zbu-

dowana została w Porto Venezia — i przybyli żandarmi oczywiście. Powitani ogniem rewolwerowym i gradem kamieni, musieli odpowiedzieć wystrzałami; nie podziały one jednak na tłum tak, że musiano wezwać kawalerię i piechotę. Użyto broni palnej — i trupy zaległy ulicę.

Tłum pierzchnął, co pozwoliło kawalerii puścić szarżę do barykad i pod tą ochroną piechota z drogi usunęła. Gdy wojsko było tam zajęte, zebrały się znowu liczne tłumy i rozpoczęły budować barykady; rzucano kamieniami na zebraną kompanię alpińców na Via Torio, prawie w centrum miasta; z okien poczęto strzelać na wojsko. Alpińcy odpowiedzieli silnym ogniem, z pomocą zaś przybyły dwie kompanie piechoty i kawaleria. Mimo to, zbudowano kilkanaście barykad i strzelanina była tu tak gęsta jak na wojnie. Trupy były prosto masakrowane. U wejść do miasta, u tak zwanych po polsku rogatek, a tu *porta*, poczęto stawianie barykad, złożonych z dorożek, omnibusów, tramwajów, ławek, sztyldów, wydartych szyn tramwajowych etc. Skonsygnowane wojsko w koszarach ruszyło na miasto. Od strzałów padło moc ludzi.

Porządku jednak nie przywrócono; kilka baterji artylerji, które początkowo strzelały prochem, zostały zmuszone do strzelania ładunkami ostremi — co niemało osób przypłaciło życiem. Na placu Duomo, gdzie sztab jenerałny rozłożył się obozem, obok pasażu Wiktora Emanuela, dostęp wzbroniony; tylko prasa zagraniczna jest dopuszczona. Ruch, pomimo zamknięcia sklepów i restauracyj, panuje niezwykły, jest to ruch wojskowy, jak na wojnie. Pięć tysięcy żołnierza stoi pod bronią. Od czasu rewolucji 1848 r. przeciw Austryakom i ich jenerałowi Radeckiemu, nie pamiętają w Medyolanie takiej kanonady i tylu zabitych. Miasto przedstawiało smutny widok: lud dyskutował i czytał gazety, cudzoziemcy w liczbie 3000 opuścili miasto, nie chcąc narażać się na niebezpieczeństwo.

Szkoły, banki, poczta, telegraf — wszelkie instytucje prywatne i rządowe, teatry — pozamykane. Zgraja szalejącego motłochu wzbudzała najwyższe oburzenie.

Wyjeżdżać z miasta było wolno, ale przyjeżdżać nie; koleje i dworce zajęte były i obsadzone wojskiem.

Szpitala były przepełnione.

Oto, co pisze naoczny świadek tego stanu w jednym z dzienników włoskich:

Wszystkie posterunki pogotowia ratunkowego miejskiego wciąż opatrywały rannych i stwierdzały ustawiczne wypadki śmierci. Władze rządowe i policyjne dzień i noc konfrontowały zabitych. Sądy cywilne nie czynne były, zastąpiono je wojennymi. Więzienie na placu San Fidelo przy kwesturze przepełnione i silnie przez wojsko i żandarmeryę obsadzone. Aż litość brała patrzeć na niewinne ofiary rozruchów, przeważnie młodzieńców 15, 17 i 20-letnich i kobiety oraz dzieci, idące w pierwszym szeregu na siły zbrojne. Podlegały kobiety, idące w drugim szeregu i poprzedzające mężczyzn od lat 20 do 42. Przykro patrzeć było na znużonych żołnierzy, oficerów, którzy korzystali z chwilowej zmiany i z kawiarni jedynej dla nich z rozkazu wyższego na placu Duomo otwartej. Żołnierze spali na bruku placu Duomo z karabinami w ręku. Trzeba przyznać, iż wszyscy wojskowi, od prostego żołnierza, aż do jenerała, nadzwyczaj byli uprzejmi, łagodni w obęjsiu, z bohaterskim stoicyzmem znosili zniewagi i prowokacje tłumów, a gdy strzelali, to musieli już być doprowadzeni do ostateczności; najczęściej strzelali w powietrze, bo w przeciwnym razie zabito by kilkanaście tysięcy osób.

Przemysł, handel i lud włoski poniósł straty ogromne. Skutki zaś nie dadzą się nawet w przybliżeniu obliczyć. Król z całym dworem wskutek zaszłych w Turynie rozruchów przyspieszył swój wyjazd do Rzymu i przybył tu wkrótce.

Wystawa w Turynie została zamknięta. Popisowi r. 1873 z całych Włoch powołani do służby; powołani być mogą jeszcze popisowi z 1874 i 1875. Prefektami wszędzie pomiano wano jenerałów. W całych Włoszech skasowano podatki przywózowy miejski na produkty spożywcze i chleb, który staniał.

Zniesiono również cło przywózowe na zboże; wydano rozkaz, aby piekarze z magazynów rządowych otrzymali zboże jaknajtaniej; poleceno też konsulowi poczynić zakupy zboża w Odesie na koszt rządu.

Trzeba oddać sprawiedliwość ministeryum, iż dokłada wszelkich usiłowań, aby ulżyć zmorze głodowej.

Po takich przejściach, łatwo zrozumieć, iż się dotąd uspokoić nie możemy. Nie mam też głowy do pisania w tej chwili o czem innem; kończę więc tę smutną korespondencję, odkładam inne sprawy bieżące do listu następnego.

Ig. Dąb.

Kronika działalności kobiecej.

— Jubileusz artystycznej a ciężkiej pracy, jubileusz, o którym świat nie wiedział, nie święcił go, ani go nie opisywał, święciła, od lat 25 nad pracą schylona kobieta, która niestrudzoną pilnością i wytrwałością ducha podtrzymuje dom swój rodzinny, męża od lat wielu chorego i nieletniego synka. Z pod umiętnych palców tej pracownicy od lat dziesiątków wykwitają prześliczne sztuczne kwiaty, nietylko dorównujące wyrobom zagranicznym, ale ludzko do żywych kwiatów podobne. Wśród trudnej walki żywota przesuwają się przez jej ręce róże, mirty, fiołki, storczyki, a niejedno westchnienie i łza towarzyszyły pracy całodziennej, przeznaczonej ku ozdobie szczęśliwszych. Niedawnowłaśnie temu, jak pani Kozłowska, umiętna pracownica znanej firmy wyrobów kwiatowych p. Krajewskiej w Warszawie, podniosła swą zmęczoną głowę z nad roboty i przypomniała sobie, że to przecież jubileusz jej pracy artystycznej, jej zarobku, jej święcie spełnianych obowiązków rodzinnych i zawodowych, że to przez lat 25, jak

siedzi oto przy tym stole i rozwija róże, mirty, fiołki — fiołki, mirty, róże bez końca, co dla niej a kwiaty na słońcu i rosie rosą prędko, a w ludzkich palcach — co to roboty! Minęło lat 25, no, i p. Kozłowska wzięła się do dalszej pracy, bo chłopiec powinien przechodzić szkoły, jest mały, czasem mąż sparaliżowany potrzebuje ciągłej opieki i usługi, a funduszy na to nie stać, a opłacać obcą usługę, a serca znów nie stać na rozłąkę i chorego oddawać do zakładu jakiegoś dobroczynnego, gdzieby był sam wśród obcych ze swoją chorobą i smutkiem. Więc dzielna pracownica zasiada dalej do roboty, z pod palców wykwitają róże, mirty, fiołki, a oczy spuszczone, bardzo spuszczone, może trzymają w uwięzi rosę, aby nie spadła na te kwiaty, i nie zamknięte, aby długie, dwudziestopięcioletnie westchnienie nie zdmuchnęło tych świetnych listków, rozrzuconych na stole, tych pięknych słupków i puchów, z których składa się miś na robota pracownicy. Myśmy to wszystko własne oczy widzieli i ślemy z tego miejsca piśmiennej jubilatce bardzo serdeczne uznanie i wdzięczność: szczęść Boże!

— Panna Bronisława Jastrzębowska, wnuczka znanego profesora i sama doświadczona już nauczycielka, otwiera z rokiem szkolnym, to jest z dniem 22 Sierpnia zakład naukowy żeński w Warszawie (Marszałkowska, 74, róg Hożej). Na początek, pensya obejmować będzie klasę przygotowawczą, pierwszą, drugą i trzecią, a dalsze otwierać się będą w miarę potrzeby. Dobrej najlepszych sił nauczycielskich i wszelkie warunki wewnętrzne zakładu, mają go postawić na najlepszej stopie. Zapis rozpoczął się od Czerwca. Nowemu zakładowi życzymy powodzenia.

— Panna Marya von Najmajer, znana i ceniona poetka w Wiedniu, bierze żywy i czynny udział w polepszeniu bytu i pracy kobiet. Stowarzyszeniu literatek i artystek dopomogła w rozwoju instytucji datkiem 10,000 guldenów przy gimnazjum żeńskim w Wiedniu utworzyła miejsce wolne dla jednej uczennicy, ofiarowała fundusz 3000 guldenów; a obecnie uczyniła zapis 7500 guldenów na pierwsze stypendium dla słuchaczki uniwersytetu wiedeńskiego. To wielka ofiarność czyni poetkę nietylko znaną, lecz i kochaną przez ludzi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołączony jest: arkuś 1 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Kolonie wakacyjne, przez Szczepanę. — Przebudzenie, przez Kazimierza Perzyńskiego. — Stanisław Nałęcz-Ostrowski Idealna szkańska (dalszy ciąg). — Z Hiszpanii, przez Zetes. — Z Rzymu, przez Ig. Dąb. — Kronika działalności kobiecej. **Dodatek obejmuje:** *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkuś 1. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 35 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 3 Іюня 1898 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.